

LESLIE WOLFE SZPITAL

Przełożyła
Agnieszka Szmatoła

Powieść *Szpital* jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *The Hospital*

Copyright © Leslie Wolfe, 2024

Published in Great Britain in 2024 by Storyfire Ltd trading as Bookouture

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2025

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculiewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-4368-8

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.mando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: OPOLGRAF • Opole

SPIIS TREŚCI

Jeden	7
Dwa	12
Trzy	15
Cztery.	24
Pięć	30
Sześć.	39
Siedem	49
Osiem.	52
Dziewięć	64
Dziesięć.	71
Jedenaście.	82
Dwanaście	90
Trzynaście	104
Czternaście.	108
Piętnaście.	116
Szesnaście	121
Siedemnaście	130
Osiemnaście	139
Dziewiętnaście	148
Dwadzieścia	158
Dwadzieścia jeden	166

Dwadzieścia dwa	169
Dwadzieścia trzy	174
Dwadzieścia cztery	183
Dwadzieścia pięć	191
Dwadzieścia sześć.	199
Dwadzieścia siedem	205
Dwadzieścia osiem	209
Dwadzieścia dziewięć	217
Trzydzieści	225
Trzydzieści jeden	233
Trzydzieści dwa	245
Trzydzieści trzy	247
Trzydzieści cztery.	257
Trzydzieści pięć	261
Trzydzieści sześć	268
Trzydzieści siedem	277
Trzydzieści osiem	286
Trzydzieści dziewięć	293
Czterdzieści	302
Czterdzieści jeden	309
Czterdzieści dwa	317
Czterdzieści trzy	324
Czterdzieści cztery	331
Czterdzieści pięć	340
Czterdzieści sześć.	348
 List od Leslie	 357
Podziękowania	359
Zespół redakcyjny	361

*Chciałabym tu podziękować gwiazdzie palestry
i mojemu przyjacielowi z Nowego Jorku Markowi Freybergowi,
który fachowo przeprowadził mnie przez zawiłości
systemu sądowego.*

*Równie entuzjastyczne podziękowania składam
dr Deborah (Debbie) Joule za jej przyjaźń i przemyślane rady.
Dzięki niej moje badania nad leczeniem urazowych
uszkodzeń mózgu i farmakoterapią były zadaniem
o wiele mniej zniechęcającym, niż się spodziewałam.
Jej wiedza, zaangażowanie do precyzji i czujność
w śledzeniu szczegółów sprawiły, że pisanie tej powieści
okazało się fantastycznym doświadczeniem.*

JEDEN

Gdzie jestem?

To pytanie zalewa mi umysł, przepływa przez niego wraz z niepewną, kruchą świadomością powracającą z głębokich ciemności. Powoli pojawia się pulsujący ból głowy, który wzbudza w głębi żołądka fale mdłości, a umysł próbuje – i zawodzi – odnaleźć wiedzę o tym, gdzie jestem. Co się ze mną dzieje.

Otwarcie oczu to niemożliwe zadanie. Walczę z niedowładem mięśni, modlę się o pomoc, bym uniosła to brzemię. A jednak moje powieki ani drgną.

Walczę ze słabością ciała, próbuję unieść dłoń i dotknąć twarzy, ale moje ręce trwają w bezruchu. Wszystko wydaje się za ciężkie, jest za ciężkie, bym mogła wykonać najdrobniejszy nawet gest.

Nawet własna twarz jest mi obca. Odległa. Odcięta. Doznania sensoryczne są głuche i oderwane, niemal jak coś, czego się nie czuje, ale za to widzi, jakby się oglądało film i dzieliło z bohaterem emocje, wrażenia, lęki. Odczucia są prawdziwe, choć obce i niepowiązane.

Walczę, by otworzyć oczy, ale nic, nawet najłżejszy promień światła, nie rozjaśnia głębi ciemności. Cały mój świat pochłonął mrok.

Panika obmywa mnie falą, każde uderzenie serca odbija się grzmiącym echem. Mój rozbity, chaotyczny umysł łapie się fragmentów wspomnień, gdy próbuję sobie przypomnieć, dlaczego zostałam uwięziona w tym sparaliżowanym świecie. Jediną odpowiedzią na każdą próbę jest bezruch, przerażający bezruch tam, gdzie powinien być ruch.

Co mi się stało?

W mojej piersi wzbiera krzyk i wypływa na usta skomleniem tak cichym, że nawet sama ledwie je słyszę.

Wspomnienie przemyka przez pogrążony w chaosie umysł, rozpała już i tak przejmujący lęk.

Nie jest jasne. Nie budują go obrazy, wydarzenia, ludzie, których mogłabym rozpoznać, to splątany węzeł tego, co czułam, i tego, co robiłam. Bardziej sen niż wspomnienie, koszmar tak naprawdę i równie mocno jak on przerażający.

Biegnę w tej gorączkowej wizji, gnam co sił i drzę, ilekroć spoglądam przez ramię, łapię szybkie, płytkie oddechy pomiędzy wyrrywającymi mi się wrzaskami. Nie widzę za sobą nikogo, jest tylko pustka, a w niej ciemność, która pożera mój świat. Pamiętam skomlenie, błaganie, wołanie o pomoc. Wciąż czuję to całym ciałem, rozpacz, strach, krzyk rozrywający mi gardło. I biegnę szybciej i szybciej, wiedząc, że cokolwiek mnie goni, zbliża się nieubłaganie.

Choć rozgrywa się to w głębi mojego umysłu, czuję ten sam obezwładniający strach, czuję, jak ściska mnie za gardło, jak mnie dusi. Ciemność niczym bezwzględny ciemieńca narasta,

przytłacza, porywa mnie z ziemi i unosi w górę, w górę, a moje myśli opanowuje chaos.

W tej udręce jawi się tylko jedna myśl.

Przed czymkolwiek uciekałam, to coś mnie dopadło. I leżę tu teraz, bezbronna i bezradna, niezdolna się ruszyć, niezdolna się rozejrzeć.

Oddycham powoli, choć wysiłek napełnienia płuc powietrzem niemal mnie przerasta, i zmuszam rozedrgany umysł do uspokojenia się. Nie jest to proces ani łatwy, ani szybki. Przebliski tamtego wspomnienia krążą w mojej głowie, wracają, nie ułatwiają ukojenia. Ale nie odpuszczam, oddycham rytmicznie, wsłuchuję się w powietrze, które zapraszam w głąb ciała, które wypraszam z siebie, które w żaden sposób nie jest powiązane z gorączkowym biciem mojego serca.

Zaschło mi w ustach, język mam opuchnięty i lepki.

Ten sensoryczny drobiazg ukryty w ciemności mojego umysłu jest niczym zagrzebany w ziemi skarb. Chwytam się go i pozwalam mu się wyprowadzić z labiryntu. Powoli napływają inne szczegóły i zbieram je, kształtuję w obraz, który potrafię odczytać.

Chce mi się pić. Mam spękane usta i czubek języka nie jest w stanie ich zwilżyć. Próbuję poruszyć palcami, powoli, świadomie, ale nic się nie dzieje. Moje oczy z takim samym uporem pozostają zamknięte, powieki chronią przyczajoną we mnie ciemność nawet kosztem moich zdrowych zmysłów.

I gdy zaczyna powracać nieuzasadniony strach, słyszę w oddali przytłumiony ryk syren. Zbliża się. Kieruję całą swoją uwagę na ten dźwięk, na inne odgłosy, niemal niesłyszalne, na dźwięki, które zaczynam zauważać, na obrazy, które zaczynają się budzić w mojej głowie.

Chwilę po tym, jak syreny cichną, uświadamiam sobie, że mijają mnie rozmawiający ludzie. Są daleko, ale wystarczająco blisko. Gdybym krzyknęła, usłyszeliby mnie. Zmuszam się do nabrania powietrza i próbuję krzyknąć.

Lecz wydaję z siebie zaledwie szept, który nie zwraca niczyjej uwagi. Głosy się oddalają.

A jednak nie jestem tu sama.

Szum mojej krwi cichnie nieco, gdy po tej myśli fala paniki opada.

Lęk przestaje mnie ogłuszać i do mojego świata wdzierają się i inne dźwięki. Gdzieś w oddali ktoś prosi o jakiś raport albo go składa, nie wyłapuję tego. Bliżej mam głośniejsze, choć przytłumione i rytmiczne pikanie jakiegoś urządzenia, wydaje się idealnie zsynchronizowane z biciem mojego serca.

Jestem w szpitalu.

To jedyny sensowny wniosek. A to oznacza, że nie uciekałam przed tym, co mnie gonilo. To oznacza, że uległam, że zostałam zaatakowana, że to coś wysłało mnie tu, bezradną, bezbronną, zagubioną. Wraz z tą myślą powraca lęk, ale tym razem podszyty jest płomieniem gniewu, wypełnia mój umysł pytaniami, na które nie znam odpowiedzi, ukrywa twarz napastnika.

Odtwarzam w pamięci ten fragment z nadzieją, że uda mi się dojrzeć, przed kim uciekałam. Nie potrafię przywołać twarzy ani imienia. Niewiele pamiętam, tylko to, że nie jestem bezpieczna, że następnym razem nie zdążę umknąć. Jestem tego tak pewna jak własnego nazwiska.

Nazywam się Emma Duncan i przetrwałam. Wciąż żyję.

Wspaniale jest móc to powiedzieć, nawet jeśli wypowiadam te słowa jedynie w głowie.

Przez chwilę otacza mnie cisza, gdy wtem odgłos kroków sprawia, że wstrzymuję oddech, łomotanie serca narasta i narasta, zagłuszając pikanie maszynerii.

Kroki mnie mijają, są szybkie, celowe. Wracają. Czuję ruch powietrza, gdy ktoś dotyka mojego policzka. Nigdy dotąd nie byłam świadoma tego wrażenia. Skrzypienie gumowych podeszew na podłodze i ruch powietrza w pokoju zdradzają, że ktoś nieopodal mnie krąży. Na tyle blisko, że może mnie z łatwością dotknąć.

Może nawet zabić.

W pierwszej chwili instynkt podpowiada mi, żebym zamarła w bezruchu i ciszy, żebym poczekała, aż ta osoba sobie pójdzie. To głupie, irracjonalne, gdy przecież chwilę temu próbowałam zwrócić na siebie uwagę. Może ta osoba wie, co się dzieje. Może przybyła tu dokończyć to, co się zaczęło, gdy uciekałam.

Niespodziewanie wyrywa się ze mnie szloch. Z kącików oczu płyną łzy, ale nie spływają na policzki. A jeśli spływają, to nie czuję tego.

Gumowe podeszwy milkną na moment, by zbliżyć się chwilę później. Ciepła dłoń ściska moją.

– Obudziłaś się – obwieszcza radosny kobiecy głos. – Cudownie. Wezwę lekarza.

DWA

Nie chciałem oglądać takiej Emmy, leżącej nieruchomo w kałuży jej własnej krwi. Serce mi się krajało.

I przez chwilę mogłem jedynie patrzeć. Jak jej piękna twarz, lekko przesłonięta kosmykami długich kasztanowych włosów, rozwiewanych podmuchami zimnego wiatru, stawiała się w świetle księżyca coraz bledsza. I choć wiedziałem, że to nieprawda, zdawało mi się, że na jej lekko rozchylonych wargach zastygło moje imię. Jej dłoń drżąca na pokrytej lodem ziemi nigdy już ku mnie nie sięgnie.

Nie po tym, co się dziś stało.

Przedemną jawił się otoczony ciemnością dom. Górował nad nią niczym nieumarty strażnik. Gdzieś z boku osiki drżały na wietrze, ich liście szeleściły, pokonane opadały na ziemię lekko i cicho.

Zbliżyłem się, ostrożnie, by nikt mnie nie spostrzegł, gdy w milczeniu wynurzyłem się spośród cieni.

Nie odważyłem się sprawdzić pulsu, jakbym się lękał, że jej skóra zwęgli opuszki moich palców. Ta bezradność tego idealnego ciała, kruchość życia przywołały wspomnienia mojej trudnej młodości. Od-dychałem szybciej, głębiej na myśl o bezradności, jaka mnie ogarniała, gdy byłem zdany na innych. Na moją matkę.

Było, minęło.

Listopadowa noc zeszła z górskich szczytów, niosąc ze sobą mroźne powietrze, i dygotałem, szczękały mi zęby, gdy wciskałem ręce głęboko w kieszenie. Wiatr wył i osiki gięły się pod jego naporem, pokrywając asfalt oberwanymi liśćmi. Kilka szarpanych podmuchami liści, wciąż jeszcze zielonych, wciąż jeszcze nietkniętych porannymi przymrozkami, opadło na głowę Emmy, dryfowało w kałuży jej krwi niczym żółte i bursztynowe łódeczki na ciemnoczerwonych wodach.

Dotknąłem ekranu telefonu, rozmyślając nad połączeniem, które chciałem wykonać. Palce Emmy momentami drżały, wciąż żyła. Nie wiedziałem, ile czasu jej zostało. Ale powiększająca się kałuża krwi wokół jej głowy, otaczająca ją niczym ciemna aureola, zdradzała, że kurczył się coraz bardziej.

Wybrałem dziesiętkę, jedynkę i znów jedynkę, lecz nie nacisnąłem zielonej ikonki połączenia. Jeślibym to zrobił, wiedzieliby, kto dzwonił, uzyskaliby dostęp do historii połączeń i lokalizacji telefonu i wiedzieliby, że tu byłem, że ją obserwowałem, a nawet o jak dawno ją obserwowałem. I ruszyliby na mnie szczęśliwi, że tak szybko udało im się znaleźć winnego.

Innym wyjściem było patrzeć, jak Emma umiera u moich stóp. A do tego nie mogłem dopuścić. Nie zniósłbym tego. Nie z nią. Ktokolwiek inny i decyzja podjęłaby się sama. Odszedłbym, nawet się nie oglądając. Nie dzwoniąc, szczedząc sobie kłopotów.

Ale Emma? Moja Emma? Nie mogłem tak stać i patrzeć, jak umiera. Nie. Nigdy. Niezależnie od ceny.

Przez chwilę krążyłem wokół niej, z całych sił próbując nie słyszeć cichego szlochu dobiegającego z jej bladych ust i żałując, że nie mogę po prostu jej podnieść, pocieszyć, zamknąć w ramionach, zanieść do srodka, do ciepłego i bezpiecznego wnętrza. A tymczasem przemierzałem

podjazd niczym zwierzę w klatce i rozważałem kurczące się opcje. Co, jeśli zadzwonię, wezwę pomoc, a potem zniszczę telefon, zanim zdołają go namierzyć? Nie byłem pewien, czy to się uda. Ale co innego mogłem zrobić? Jakie kłamstwo usprawiedliwi moją obecność?

Krążyłem szybciej i szybciej, rozdzierany niepewnością, i nagle zacząłem rozumieć kłębiące się we mnie emocje. To, jak metaliczny zapach jej krwi budził w moim wnętrzu niejasne pragnienie. To, jak bardzo niepokoiło mnie kruche ciało u moich stóp, przewaga, jaką nad nim miałem.

W tamtej chwili, na krawędzi między życiem a śmiercią, była całkowicie i kompletnie moja.

Gdy znów na nią spojrzałem, wciąż niezdecydowany, ujrzałem, że jej palce zamarły. Drżenie ustało. Umierała. Albo już umarła.

Czas na rozważania, na roztrząsanie możliwości minął. Bez wahania wybrałem najlepszą opcję i zadzwoniłem.

A teraz, stojąc w cieniu drzew, wpatrując się w miejsce, gdzie leżało jej ciało, wiem, że podjąłem słuszną decyzję. Nieskazitelną, iskrzący śnieg pokrywa wszystko białą warstwą niewinności. A Emma wciąż żyje.

Moja kochana Emma.

TRZY

Miękkie skrzypienie gumowych podeszew oddala się od łóżka i cichnie, gdy zamykają się drzwi. Wstrzymuję oddech, nasłuchuję, a mój umysł wypełniają pytania, które pragnę zadać. Odległe dźwięki, niemal niesłyszalne, powiadamiają mnie o rozszepanych ludziach mijających pośpiesznie moje drzwi. Jakieś metalowe przedmioty opadają z brzękiem na tacę, a pikanie podobne do piszczenia mikrofalówki sprawia, że widzę oczami wyobraźni sprzęt medyczny znany mi z seriali, lecz nie umiem podać jego nazwy.

Wyczuwam w powietrzu zapach gazy, sterylizatorów, odkażaczy. Nikły, ale świeży, jakby dopiero co je otwarto. A jednak nie przypominam sobie szelestu rozrywanego opakowania, przynajmniej odkąd się przebudziłam.

Drzwi się cicho otwierają i biorę kolejny oddech, ale piszczenie sprzętu monitorującego zdradza mój niepokój. Kroki, cięższe niż te gumowych podeszew, które już nauczyłam się rozpoznawać, choć równie pośpieszne. Pojawia się ledwie wyczuwalny aromat jakby cytrusowy, może z nutą ziół, bazylią albo szalwią. Elegancki, męski, woda kolońska noszona z wyczuciem. Szelest

materiału, prawdopodobnie fartucha lekarskiego, ustaje, gdy kroki docierają do mojego łóżka.

– Dzień dobry, panno Duncan. Jestem doktor Sokolowski i to ja się panią zajmuję. Czy przypomina sobie pani, żeby ze mną kiedykolwiek wcześniej rozmawiała?

Jego głos jest przytłumiony, ale niski i kojący, pobrzmiewa w nim nutka słowiańskiego akcentu, chyba polskiego. I jest mi kompletnie nieznany. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego głosu. Dlaczego pyta, czy go rozpoznaję?

– N-nie – odpowiadam. Mówienie sprawia mi trudność. To samo osłabienie, które przejęło moje członki, atakuje twarz, policzki, język, ale narastająca we mnie panika każe mi dodać: – Nie wydaje mi się, żebyśmy kiedykolwiek wcześniej rozmawiali.

Zapada między nami chwila ciszy, którą przerywa odgłos kółek toczących się po podłodze i szelest wykrochmalonego materiału, chyba lekarz przysunął sobie krzeselko.

– Nie rozpoznaje pani mojego głosu? – W jego pytaniu pobrzmiewają nutki troski, która wypełnia mnie grozą, jest wyrażona, choć słowa wydają się przytłumione, jakby usta miał przesłonięte chusteczką. Jakby nosił масечkę chirurgiczną.

Oddycham z ulgą. Oczywiście, że to масечка. Sensowne.

– Nie. Co się ze mną dzieje?

Ścisną delikatnie moją dłoń. Czuję, jak sprawdza mi puls przez coś, co chyba jest nitrylową rękawiczką.

– Proszę się nie martwić, panno Duncan, odpowiem na wszystkie pani pytania. Przywie...

– Emmo. – Przełykam ślinę, gardło mam zaciśnięte i przesuszone. – Proszę.

– Dobrze, Emmo. – W jego głosie pojawia się cień uśmiechu, ale znika, gdy wracają troska i powaga. – Miałaś wypadek. Przywieziono cię i przyjęto do Baldwina...

Protestuję z trudem, żałując, że jestem zbyt osłabiona, by mówić głośniej, ale lekarz milknie i słucha.

– Zaatakowano mnie. To nie był wypadek. – Oddycham szybciej, poruszona, przestraszona ignorancją lekarza, zdesperowana, by wszystko jak najszybciej wyjaśnić. Próbuję się podnieść, ale moje ciało ani drgnie. Gdzieś w żyłach wzbiera panika. – Biegłam i...

Brakuje mi słów na opisanie tego, co się stało, i przerywam w pół słowa, dyszę. Nie mogę mu powiedzieć, co się stało. Niczego nie pamiętam.

Kółka toczą się po podłodze i dociera do mnie, że lekarz się przemieszcza, nie wstając z krzeselka, choć wcześniej wyraźnie słyszałam jego kroki. A potem dociera do mnie dźwięk plastiku uderzającego o coś lekko i szelest papieru i wyobrażam sobie, że lekarz przegląda moją kartę.

– Mam tu wyraźnie napisane, wypadek, a dokładniej: poślizgnięcie się i upadek. Poprawię. – Szelest papieru. – Nie bój się, jesteś tu bezpieczna.

W piersi wzbiera mi rozpacz.

– Nie rozumie pan – szlocham. – To nie koniec. Wiem, że to nie koniec. Czuję to. A ja nawet nie widzę, nie mogę się ruszyć...

Znów ściska moją dłoń, tym razem pocieszająco. Ale to tak samo chłodny dotyk jak wcześniej.

– Zaopiekujemy się tobą. Mam doskonały zespół zajmujący się urazami i nie pozwolimy, żeby coś ci się stało – mówi poważnym, przekonującym tonem.

Ufam mu i pozwalam sobie się odprężyć.

– Co mi się stało? Dlaczego miałabym znać twój głos?

– Rozmawialiśmy już dwukrotnie, ale już mówię, co się dzieje. A potem będę miał kilka pytań. Jeśli chcesz, żeby coś ci wyjaśnić albo żebym mówił wolniej, daj mi znać.

– Proszę mi po prostu powiedzieć, co się dzieje – błagam, przeżona pustką w pamięci. To nie tak, że zapomniałam słowa lekarza, ale raczej jakbym nigdy wcześniej go nie spotkała, jakby nic nie istniało pomiędzy teraz a chwilą, kiedy uciekałam przed śmiercią.

– Tak zrobimy – mówi łagodnie. – Doznałeś poważnego wstrząsu, urazowego uszkodzenia mózgu spowodowanego uderzeniem w głowę lub gwałtownymi drgawkami całego ciała i głowy, a to wpłynęło na korę wzrokową w mózgu. Moim zdaniem to wynik uderzenia, takiego, jakiego doznają ludzie, gdy spadają ze schodów, a nie drgawek czy potrząsania, ale nie możemy tego całkowicie wykluczyć. Rana z tyłu głowy i siniaki wskazują raczej na cios zadany tępym narzędziem.

Jego słowa mrozą mi krew w żyłach. Uraz mózgu? To by wyjaśniało brak pamięci. To by znaczyło, że mogę się nigdy nie dowiedzieć, kto mi to zrobił. Że mogę stracić na zawsze wzrok. Że mogę nigdy nie stanąć na nogi.

Doktor Sokolowski milknie na moment.

– Uraz powoduje pewne znaczące objawy. Obecnie najważniejsze jest to, że nie widzisz i nie możesz się ruszyć. Na mózgu jest opuchlizna, która uciska nerwy i wpływa na ich działanie.

To nie wydaje się prawdziwe, choć przecież jest. I ta myśl zmienia mi krew w lód.

– Co się ze mną stanie? Czy odzyskam wzrok?

– Mamy nadzieję, że to, co powoduje ślepotę i paraliż, ustąpi wraz z obrzękiem. To termin medyczny, oznacza opuchliznę mózgu. Przeprowadziliśmy badania, tomografię komputerową i rezonans magnetyczny, i nie widzimy w wynikach niczego, co wskazywałoby, że to stan nieodwracalny.

– Jak długo? – Domagam się odpowiedzi, próbując powstrzymać palące łzy. Nie mogę tak żyć... ani minuty dłużej. Groza wsiąka w moje ciało niczym mróz. – Jak długo taka będę? Boję się.

Bierze głęboki wdech i na chwilę wstrzymuje oddech. Ten odgłos wahania mnie denerwuje. Powinien być przyzwyczajony do udzielania pacjentom nieprzyjemnych informacji. Jak bardzo jest ze mną źle? Czego mi nie mówi?

– Będę z tobą szczery, Emmo. To poważny uraz, ale istotne jest, byś wiedziała, że sytuacja może się zmienić. Ludzki mózg posiada tę niezwykłą umiejętność samoleczenia. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć wyniku, jednakże mamy nadzieję na znaczną poprawę w miarę postępów w leczeniu.

– Nadzieję? – Próbuję zaczerpnąć tchu, próbuję napędnąć płuca powietrzem i przychodzi mi to z takim trudem, jakby jego słowa wypaliły cały tlen w sali.

– Emmo... wiem, że to przerażające, ale nie możesz się poddawać. Ani teraz, ani nigdy. – Znow ścisną moją dłoń i ten prosty gest dodaje mi odwagi. – Zaczęliśmy podawać ci leki, które mają zmniejszyć obrzęk i złagodzić ból. Zespół neurologiczny doktora Winsłowa wciąż szuka przyczyn. Może się okazać, że to uszkodzenie rdzenia kręgosłupa, które nie wyszło na skanach. Czasem obrzęk ukrywa uszkodzenia. Ale tym się raczej nie przejmuję. Jedyna widoczna rana to uszkodzenie czaszki, nie kręgosłupa.

– Czyli mówi pan, że moje nerwy nie zostały uszkodzone, tylko nie działają?

– Dokładnie tak. Uważamy, że taka właśnie jest przyczyna zaniżonego napięcia mięśniowego, którego doświadczasz. Tonus mięśniowy to napięcie mięśni, ich gotowość do wykonywania swoich funkcji z odpowiednią siłą. Jesteś w stanie kontrolować kończyny i nawet jeśli to nikła i ograniczona kontrola, właśnie z jej powodu wierzę, że z tego wyjdiesz. To może jednak trochę potrwać. – Milknie na moment i w tej ciężkiej i pełnej napięcia ciszy wstrzymuję oddech. Jego głos znów jest ponury, jakby zaprzeczający słowom pełnym nadziei. – Będzie też wymagało dużo pracy i nie okaże się łatwe. Badania, leczenie, rehabilitacja. Będziesz musiała się nauczyć chodzić. Od nowa. Krok po kroku. Zaczniemy jednak od odpoczynku, póki nie ustąpi obrzęk mózgu.

Jego słowa wydają się odległe, niedowierzanie staje się zaprzeczeniem i wplata się między mnie a moją nową rzeczywistość, odmawiając zaakceptowania jej.

I nagle to do mnie dociera.

Nigdzie się nie wybieram.

To nie sen, z którego lada chwila się ocknę, podziękuję wszystkim zgromadzonym i spokojnie odjadę do domu, by dalej żyć swoim życiem. Nie... To mi zostaje.

Ciemność, paraliż, strach.

– Och, nie. – Nie mogę powstrzymać płaczu. Szloch spływa z moich drżących warg. Nie ruszam się, nie dyszę, leżę tylko w bezruchu, na plecach, jakby jedynym, co we mnie przetrwało, był ból, który pragnie się teraz wyrwać na wolność.

– Wiem, że musisz to przetrwać. Jesteśmy tu dla ciebie i będziemy cię na każdym kroku wspierać. – Milknie na chwilę, ale

jego kojący głos wciąż rozbrzmiewa echem w moich uszach. – Porozmawiajmy o twojej pamięci. Trochę mnie niepokoi fakt, że nie pamiętasz naszych wcześniejszych rozmów. I już o to pytałem, ale zadam pytanie ponownie: co pamiętasz jako ostatnie?

Wciąż żywię irracjonalną nadzieję, że to tylko koszmar, z którego lada chwila się obudzę, i z trudem zbieram myśli.

– Uch, biegłam. Bałam się... Krzyczałam i biegłam do drzwi, chyba. Nie jestem pewna.

– Kto cię zaatakował?

Próbuję pokręcić głową, ale nie jestem pewna, czy chociaż uniosłam ją nad poduszkę.

– Nie wiem. Nie... nie mogę sobie przypomnieć. Mam w głowie pustkę. – Milknę, mam przed oczami ten jeden przebłysk. – Czy kiedykolwiek sobie przypomnę? Bo muszę.

– Myślę, że tak. Daj sobie czas.

Czas. Coś, czego nie miałam. Coś, co już mi umykało, zagubione w ciemnościach mojego okaleczonego umysłu.

– Jak długo tu jestem? Dlaczego niczego nie pamiętam?

– Kilka dni. Ale ta niepamięć następcza, czyli niezdolność do tworzenia nowych wspomnień, aż tak mnie nie martwi, podajemy ci dużo leków.

– Okej – szepczę, życząc sobie, żeby wszystko się skończyło. Wszystko. To, co się wydarzyło. Ta ciemność, która przesłoniła mi świat. Obezwładniający lęk, że tak właśnie będzie wyglądać reszta mojego życia.

– Bardziej martwi mnie ta pourazowa niepamięć wsteczna, której najwyraźniej doświadczasz. Mówię tu o utracie informacji nabytych przed wystąpieniem amnezji, co u ciebie najprawdopodobniej stało się w momencie napaści. Zazwyczaj niepamięć

jest tymczasowa i częściowa. To zwykle utrata fragmentów lub segmentów wspomnień, czasem pamiętanie wydarzeń w złej kolejności. – Milczy, jakby starannie dobierał słowa. – Pamiętasz coś poza tym, co opisałaś wcześniej, poza ucieczką przed napastnikiem?

Otwieram usta, ale słowa z nich nie wypływają. Jakby tam, gdzie kiedyś było życie, moje życie, teraz zostały rozmazane smugi.

Kardiomonitor pika coraz szybciej.

– Już dobrze – mówi doktor Sokolowski. – Wiem, że pamiętasz, jak się nazywasz, a to już coś, prawda? – Zaciskam usta. Nie umiem się zmusić do podzielenia jego optymizmu. – Pamiętasz, który mamy rok? – Cisza. Krzyczę w zaciszu własnej głowy. – Kto jest prezydentem? – Kolejna chwila ciszy, a potem powraca jego głos, energiczny i pełen optymizmu. – Spróbujemy raz jeszcze za dzień albo dwa, kiedy obrzęk trochę ustąpi. Potem zmniejszymy dawkę leków, a to, mam nadzieję, pomoże ci zacząć sobie coś przypominać. Pamięć może ci wracać nieskoordynowanymi, niepowiązanymi przebłyskami albo w większych, bardziej zwartych i szczegółowych fragmentach. – Znów ściska moją dłoń. – Masz jeszcze jakieś pytania?

Od czego mam zacząć?

– Nie mogę otworzyć oczu – szepczę wykończona. – Dziwaczne uczucie.

– Masz opatrunek wokół głowy, zasłania też oczy. Najprawdopodobniej to właśnie czujesz. Nie powinnaś otwierać oczu ani ich nadwyręzać, póki się nie dowiemy, co powoduje ślepotę.

Czuję, jakbym odpływała, i ze wszystkich sił próbuję zachować przytomność.

- Dziękuję. – Udaje mi się wydusić.
- Mam zawiadomić policję o napaści?
- Tak, proszę. – Mój umysł wczepia się w tę myśl z nadzieją, że poczuję się bezpieczniejsza, kiedy napastnik zostanie zatrzymany.
- Dobrze, zrobię to od razu. – Słyszę stukot kółeczek, a potem jego kroki. Jeden z butów skrzypi.
- Nie. – Pokonana zmieniam zdanie. – Tylko zmarnujemy ich czas. Niczego nie pamiętam. – Przełykam z trudem. – Przepraszam. Po prostu... bardzo się boję.
- Nie przepraszaj. Mimo wszystko będziemy musieli to zgłosić. – Znów ten nikły zapach ni to cytrusowy, ni to ziołowy. – Tu masz coś do picia. Uważaj, to słomka – mówi, gdy coś dotyka moich ust.

Wdzięczna, wciągam chłodny płyn i udaje mi się przełknąć kilka łyków. Woda. Po chwili słyszę dźwięk plastikowego kubeczka odstawianego na stolik obok mnie.

- Dziękuję.
- Jesteś tu bezpieczna, Emmo. To ci mogę przyrzec. Daj sobie tyle czasu, ile potrzebujesz, a kiedy będziesz gotowa, wezwiemy policję, żebyś mogła złożyć oświadczenie. Tymczasem wypełnię niezbędne formularze i przekazę lokalnym władzom, ale nie musisz z nimi rozmawiać, dopóki nie uznasz, że jesteś gotowa. Dobrze?
- Dobrze – szepczę i czuję, jak odpływam.
- Na razie musisz odpoczywać. Wszystkim innym my się zajmujemy i zapewniam cię, że będzie dobrze. – Znów dotyka mojej ręki, ale niemal tego nie czuję.

Może jutro sobie przypomnę, kto to był.

Myśl krąży przez moment w mojej głowie, póki nie powrócą i nie pochłoną mnie ciemność i cisza.

CZTERY

– Mówisz o George’u, prawda? To dlatego...

Budzi mnie odległy, rozchichotany, pełen podtekstów głos. Wstrzymując oddech, nasłuchuję, póki beztrzeska rozmowa dwóch kobiet nie zniknie w oddali. Oddalające się głosy zostawiają za sobą jedynie ciszę i ciemność, kontrapunktowane pikanietem kardiomonitora.

Czy jestem sama? Do szafu doprowadza mnie to, że nie wiem tego na pewno. Zawsze traktowałam jak rzecz oczywistą, podstawową to, że wiedziałam, kto jeszcze jest w pomieszczeniu i czy w ogóle ktoś jest w nim wraz ze mną. Wiele innych rzeczy też przyjmowałam za pewnik. Sięgnięcie po wodę, gdy byłam spragniona. Zjedzenie czegoś. Poruszanie się.

– Halo? – wołam, choć to raczej słaby jęk, a wysiłek w niego włożony nasila ból głowy.

Nikt nie odpowiada.

Nawet najmniejszego dźwięku, niczego, co podpowiedziałyby mi, czy ktoś mnie obserwuje, wykorzystując moją ślepotę. Czasem mi się zdaje, że słyszę czyjś oddech, ale to pewnie moja wyobraźnia. Albo koszmar.

Lekarz twierdził, że jestem tu bezpieczna. Jak on się nazywał?
Uch. Zapomniałam. Coś jak... a może...

Jestem tak sfrustrowana brakami w pamięci, że wyrywa mi się zduszony jęk. Chociaż przynajmniej pamiętam jego wizytę i co nieco z tego, co mówił. Tym razem. Poprzednie wizyty, o których wspominał, wciąż są czarną dziurą.

Zmuszam umysł do cofnięcia się i szukam czegokolwiek, co pomoże mi sobie przypomnieć, kto mnie skrzywdził. Przed kim uciekałam, gdy mnie powalono?

Nic. Tylko ciężka zasłona ciemności pod powiekami, gdzie zwykle pojawiały się i znikwały strzępy obrazów niczym wspomnienia snu, pomagając mi wyobrażać sobie lub przypominać – jak sceny z filmów wyświetlane w kinie mojego umysłu.

Tak było przed napacją. Przynajmniej tyle o sobie pamiętam – to, jak działał mój mózg.

– Pomóż mi – błagam, choć nie kieruję tej prośby do nikogo konkretnego. Ale czuję się lepiej, gdy mogę wypowiedzieć te słowa na głos, jakby dodawało im to głębi.

Pojawia się nagle wspomnienie. Powoli staje się silniejsze. Choć wciąż to bardziej uczucie niż wspomnienie. Moja twarz na tle czerwonej zasłony z nadrukiem fal w piaskowym kolorze. Zapach: słaby, świeży aromat czystej pościeli. Proszku do prania i lawendowego płynu.

I strachu. Tak pachnie strach.

Mój strach.

Zduszone westchnienie niemal rozbija kruchą taflę wspomnienia, ale trzymam się go, nie pozwalam mu odejść, jestem zdecydowana podążyć tam, dokąd mnie poprowadzi. Widzę siebie – wyglądam przez okno ukryta za zasłonami, moje policzki

są wtulone w materiał, a ja się wychylam i spoglądam na zewnątrz, gdzie jakiś nieznajomy opiera się o pień drzewa, ręce ma wciśnięte w kieszenie bluzy z kapturem. Patrzy na mnie. Światło szybko zanika, słońce już zaszło. Podwórze jest opuszczone, w oddali zerkają na nas góry ze szczytami obsypanymi śniegiem niczym milczące olbrzymy.

I ten mężczyzna. Nieruchomy. Wpatrzony we mnie. Czeka.
Na co?

Nitka wspomnień rozwija się teraz w zupełnie innym kierunku. Widzę się przy tym samym oknie, ale jest wcześniej, słońce za moment dotknie ośnieżonych szczytów, cienie osik wydłużają się niepokojąco. To ten sam dzień? Nie wiem. Pamiętam tylko kołatanie serca na widok nieznajomego na moim spokojnym podwórzu. Pamiętam, że złapałam telefon, gotowa wykręcić dziewięćset jedenaście. Pamiętam trzęsące się palce, wahanie, gdy dopadły mnie wątpliwości, gdy zwątpiłam we własny umysł. Pamiętam zaciągnięte w panice zasłony. I to, jak dyszałam, jak drżałam.

To znajomy strach, dobrze go pamiętam. Ale nie wiem dlaczego.

Hałas zza drzwi rozwiewa wątle wspomnienie i budzi moją czujność. Drzwi ostrożnie się otwierają i rozpoznają skrzypienie gumowych podeszew.

– Widzę, że jesteś przytomna – mówi łagodny kobiecy głos. – Dobrze. Nakarmimy cię. – Coś szeleści nieopodal, coś cicho stuka. – Jesteś w ogóle głodna?

Bezgłośnie wypuszczam przetrzymane w płucach powietrze.

– Jak masz na imię?

Kroki się zbliżają.

– Isabella – odpowiada. Brzmi jak młoda dziewczyna. – I bardzo chciałabym wiedzieć, czy możesz przełykać. Do tej pory dostawałaś kroplówki.

Na czole próbuje mi się wykształcić zmarszczka, ale poddaje się w obliczu otulającego moje czoło opatrunku i pojawia się jedynie przejmujący, pulsujący ból głowy.

– Chyba mogę. – Przynajmniej mam nadzieję. – Wypiłam wcześniej trochę wody.

– Fantastycznie – odpowiada. – Właśnie to chciałam usłyszeć.

Z tego samego kierunku co jej głos dobiegają postukiwania. Słyszę odkręcanie zakrętki, ciche pyknięcie towarzyszące uniesieniu pokrywki. Coś sprawia, że trzaska plastik, a potem słyszę chlupoczący odgłos mieszania w słoiku.

Mus jabłkowy.

Zapach sprawia, że pożądam czegoś, czego nie tknęłam od czasów przedszkola. Ale to, że nie jadłam musu od tak dawna, jest odświeżające, nawet pocieszające.

– Jesteś moją pielęgniarką?

Isabella przesuwa jakieś przedmioty i nie przerywa tego nawet, kiedy mi odpowiada.

– Jedną z twoich pielęgniarek. – Otwiera następny pojemnik i napełnia coś płynem. – Już niedługo, skarbie.

– Nie spiesz się – odpowiadam ogarnięta zgrozą na myśl, że będzie mnie karmić. – Widziałas kiedyś, by ktoś w takim stanie jak ja wyzdrowiał?

Stukot ustaje. Isabella podchodzi i siada na krawędzi łóżka. Materac przechyla się lekko pod jej ciężarem, ale ja niewiele czuję.

– Spróbuj ścisnąć moje palce, tak z całej siły – prosi, dotykając mojej ręki.

Próbuję, naprawdę próbuję, lecz mięśnie odmawiają współpracy. Znow i znow próbuję, ale przestaję, gdy muszę stłumić szloch.

– Tak, widziałam osoby w twoim stanie, które wyzdrowiały. Codziennie je widuję – mówi. – Możesz poruszać kończynami, zakres ruchu masz ograniczony, ale to nieistotne. Liczy się to, że możesz. Lekarz cię nie poinformował?

Nie potrafię jej odpowiedzieć od razu. Ona jednak czeka cierpliwie.

– Boję się. – Udać mi się w końcu wydusić. – Nie mogę...

– Musisz być dzielna. Musisz wierzyć w to, że wyzdrowiejesz, musisz w to wierzyć z całego serca. I nie możesz się zamartwiać. Odpoczywaj, pozwól sobie zdrowieć. – Klepie mnie po ręce i jej dotyk jest równie mało wyczuwalny, co ten lekarza, jakby i ona nosiła rękawiczki. Czuję muśnięcie jej skóry, ciepło jej dłoni, ale są jakby daleko. – Dobrze, zjedzmy coś w końcu.

Pierwszą porcję musu przełykam z trudem. Boli mnie jak przy ciężkim zapaleniu gardła. Krzywię się, przełykając, i proszę o łyk wody.

– Pozwól, że spojrzę – mówi po tym, jak pozwala mi się napić. Przedmioty na tacy brzęczą, gdy kładzie ją na łóżku. Coś pstryka zbyt blisko mojej twarzy. Wzdrygam się. – To latarka. Nic, czym trzeba się przejmować. Otwórz usta.

Przychodzi mi to z trudem. Mięśnie mnie nie słuchają, choć twarz jest bardziej posłuszna niż ręce.

Isabella ostrożnie dotyka mojej brody, chyba po to, by otworzyć mi szerzej usta i mieć lepszy widok. Potem jej palce tańczą lekko po bokach gardła, badając węzły chłonne i spód zuchwy.

– Gardło masz podrażnione i lekko opuchnięte. Będzie to musiał obejrzeć lekarz. Powiadomię go. – Pstryknięcie. Chyba wyłączyła latarkę. – Nadwyreżyłaś głos czy coś podobnego?

Przebłysk wspomnienia napływa tak gwałtownie, że zapiera mi dech. Znów widzę siebie, jak biegnę, jak się potykam. Pamiętam palenie w gardle, gdy krzyczałam, zrozpaczona i wściekła jednocześnie.

Pomocy! Niech mi ktoś pomoże... Puść mnie!

Krzyk odbija mi się w głowie echem, rozrywa bezruch moich myśli. Wspomnienie jest w jednej chwili tak żywe, w drugiej znika.

– Krzy-krzyczałam – szepczę. – Uciekałam... Ja... och, nikt się nie zjawiał.

– Och, skarbie, to okropne! Przed kim uciekałaś?

Nie odpowiadam. Po chwili milczenia Isabella siada obok mnie i oferuje kolejną porcję musu jabłkowego, stukając łyżeczką o moją dolną wargę.

– Nie... nie mogę.

– Nie szkodzi – zapewnia mnie. – Będę w okolicy, jeśli zgłodniejesz. A jeśli będziesz czegoś potrzebować...

– Mogłabyś zadzwonić do mojej mamy?

PIĘĆ

Och, mamó...

Z wypełniającej mój umysł mgły wyłaniają się rozproszone wspomnienia o mojej matce, zderzają się i zderzają, póki nie zostanie po nich jedynie wrażenie, że wszystko straciłam. Na myśl o matczynej dłoni gładzącej mój policzek do oczu napływają mi łzy. Chciałabym uciec do niej, do domu, usiąść przy niej na podłodze, złożyć głowę na jej kolanach. Odpocząć, poczuć się wreszcie bezpieczna, pławić się w jej miłości.

Obraz się zmienia, gdy szczegółom udaje się wyrwać z pustki. Na wózku rurka z tlenem, zawsze pod ręką. Maseczka podtrzymywana czasem drżącymi, sękatymi palcami. Błada twarz, kruche ciało. Kaszel i świszczący oddech, które sprawiają, że każdy oddech to bitwa o kolejną chwilę pożyczonego czasu i wiedza, jak niewiele tych chwil zostało. Nawet jeśli dopiero przekroczyła sześćdziesiątkę.

Ale kiedy to było? Kiedy skończyła sześćdziesiąt lat?

Niewypowiedziany ból rozrywa mi serce. Co, jeśli odeszła? Co, jeśli moja mama umarła, a ja o tym zapomniałam?

Nie... to nie może być prawda. Proszę, niech to nie będzie prawda.

Isabella wciąż coś przekłada na tacy, możliwe, że po prostu odkłada rzeczy, nuci pod nosem jakąś melodię, którą znam, ale nie potrafię sobie przypomnieć tytułu. Przestaje, na chwilę na tyle długą, by wycisnąć jakiś odkażacz. Zapachniało truskawkami. Nie prawdziwymi, ale ich chemiczną wersją. Potem słyszę, jak energicznie pociera dłonią o dłoń i znów nuci.

Odgłos zbliżających się pospiesznie gumowych podeszew. Znów czuję, jak łóżko się ugina, w powietrzu jakiś ruch i szelest materiału.

Ze strony Isabelli dobiegają cztery przytłumione piknięcia, odblokowuje telefon, gotowa wybrać numer.

– Okej, jestem gotowa. Jaki jest numer twojej mamy?

Proste pytanie. Pytanie, które powinnam przewidzieć. I żadnej odpowiedzi. Tylko rozpacz wypełniająca mi płuca tak dokładnie, że nie ma w nich miejsca na tlen.

– N-nie wiem – szepczę drżącym głosem.

– Nie przejmuj się, skarbie, znajdziemy. Masz telefon? Jestem pewna, że numer twojej mamy tam jest.

Pamiętam, że trzymałam go w ręku, że miałam wybrać dziewięćset jedenaście, gdy obserwowałam nieznajomego czającego się pośród cieni na podwórzu. Pamiętam, że ścisnęłam telefon tak mocno, że zaboląły mnie pobielełe knykcie.

– Nie... nie wiem. Może policja go zabrała po tym...

– Już dobrze, nie martw się. – Czuję, że ścisną moje ramię. – Coś wymyślimy. Możesz mi powiedzieć, jak się nazywa twoja mama?

– Loreen Duncan – odpowiadam zadowolona, że choć tyle pamiętam. – Mieszka w Lubbock, w Teksasie.

– A twój tata? Może telefon jest na niego?

Podczas pogrzebu taty padało. Wciąż jeszcze czuję smak pokrytych pyłem kropel deszczu i zmieszanych z nimi słonych łez. Dźwięk grud wilgotnej ziemi uderzających o trumnę wibruje mi w sercu. I powrót do domu w obezwładniającym upale, bo słońce postanowiło przedrzeć się przez chmury, nie zważając na moją żalobę. Stary dom, któremu przydałyby się nowa elewacja i nowy dach, szeroko otwartymi drzwiami powitał niewielką procesję. Nasza rodzina szła przodem, ja, mama i jacyś kuzyni z Oklahomy, za nami kilku sąsiadów i paru parafian. Zapach palących się świec i teksańskiego pyłu zroszonego deszczem.

– Nie... tylko mama.

Cisza. Wstrzymuję oddech, podczas gdy palce Isabelli stukają o ekran telefonu.

– Znalazłam Loreen Duncan. Spróbujmy, dobrze?

Kiwam głową, ale nie wiem, czy wykonuję jakikolwiek ruch, jaki mogłaby zauważyć Isabella.

– Tak... dziękuję. – Głos mi drży na wspomnienie kruchości mojej mamy. – Proszę jej nie mówić, co się stało. Nie czuje się dobrze. Chcę tylko ją usłyszeć.

– Bez obaw. – Głos Isabelli jest jakby zduszony. – Zadzwoń i przyłożę ci telefon do ucha. Kiedy rozpoznasz jej głos, odezwij się, a ja wyjdę. Rozmawiaj, ile chcesz. Jeśli to nie ona, zadzwonimy pod następny.

Oddycham powoli, próbując powstrzymać łzy, walcząc z łamiącym się głosem.

– Okej.

Kładzie telefon na poduszkę, czuję, jak wsuwa mi go pod policzek, i w tej samej chwili słyszę słaby kobiecy głos.

– Halo.

– Mama?

– Emma? Kochanie!

Łzy płyną mi po policzkach i wzdycham cicho, nie chcąc, by mama wiedziała o moim bólu.

– Jesteś tam?

– Aha – udaje mi się wydusić. – Tak, mam, jestem. Co u ciebie?

– Kochanie, tak się cieszę, że dzwonisz. Tęskniłam, ale to wiesz. Cały czas za tobą tęsknię. – Kaszle, lecz przykrywa telefon dłonią, więc odgłosy są wytłumione, by po chwili całkiem ustać. – Wybacz, wiesz, jak jest.

– Wiem – odpowiadam, z trudem przełykam ślinę i walczę ze łzami. – Też za tobą tęsknię. Może niedługo cię odwiedzę.

– Nie, nic tu nie ma poza pyłem i gzami. Żyj po swojemu i bądź szczęśliwa. Jesteś teraz ze Steve'em, należysz do innego świata, nie do tego, nie z rzęzącą staruchą.

Steve? Kim jest Steve?

Ale jedynej osoby, która zna odpowiedź, o to zapytać nie mogę.

– Wciąż przeglądam zdjęcia, które mi wysłałaś. Te z Cancun. Wyglądasz przepięknie.

Nie wiem, co powiedzieć. *Byłam w Cancun? Kiedy?*

– Dziękuję – szepczę w końcu. To najlepsze, na co mnie stać, kiedy mój umysł się kłębi, próbując odnaleźć choćby strzępy tego, co straciłam. Czego jeszcze nie pamiętam? I kim jest ten Steve, o którym wspomina mama?

– To prawda. Jesteś piękna. Twój ojciec, niech mu ziemia lekką będzie, rzadko się w życiu mylił, ale cieszę się, że mylił się co do Steve'a.

Moment ciszy, w który wsłuchuję się w milczeniu. A kiedy wydaje mi się, że mogę już zaufać swojemu głosowi, pytam:

– Co masz na myśli?

– Och, no wiesz, twierdził, że Steve jest dla ciebie za stary. Powtarzał, że dziewiętnaście lat to za duża różnica wieku. Ale zdjęcia z waszego miesiąca miodowego sprawiły, że przestał narzekać. Nigdy nie byłaś szczęśliwsza.

O Boże... Jestem mężatką. Mój mąż ma na imię Steve. Mam męża, którego nie pamiętam.

Kiedy chichot mamy zmienia się w napad kaszlu, czuję ukłucie paniki. I słyszę syczący odgłos, jakby sięgnęła po tlen.

Co się stało ze Steve'em? Dlaczego go tutaj nie ma, przy mnie, jeśli jest moim mężem? Czy zginął, gdy zostaliśmy napadnięci? I co najważniejsze, gdzie jest miłość? Powinnam czuć pustkę, jakby brakowało w moim życiu kogoś ważnego. Czy moje ciało, moje serce nie powinny go pamiętać, nawet jeśli umysł o nim zapomniał? Jak można stracić tak wiele i o tym nie wiedzieć? Nie czuć straty?

Oddycham szybko, nerwowo, obawiając się nieuniknionego zranienia, którego jestem pewna. Poszukiwania jakichkolwiek wspomnień mojego dawnego życia spełzają na niczym. Mam tylko złowrogię wrażenie, że coś naprawdę się tam czai, ukrywa, czeka.

Odchrząkuję lekko i pytam tak niezobowiązująco, jak tylko potrafię:

– Masz jakieś ulubione zdjęcie, mamó? Opisz mi je.

– Nie muszę się nawet zastanawiać. – W jej głosie rozbrzmiewa radość, która i mnie się udziela. – Na plaży, to z księżycem. Pamiętasz je?

– Nie, raczej nie.

– Jest już ciemno, niebo przybrało ten wspaniały fioletowy kolor, wzdłuż horyzontu rozjaśniony różem. Księżyc w pełni

niemal dotyka powierzchni wody. Ocean jest spokojny i księżyc odbija się w tafli, a drobne zmarszczki fal biegną ku brzegowi, na którym siedzisz.

– Och, też jestem na zdjęciu? – pytam kpiąco, choć znam odpowiedź. Muszę być na ulubionym zdjęciu mamy. To wiem na pewno.

– Ty i Steve. On chyba siedzi na pniu drzewa, na takim przyniesionym przez morze kawałku drewna, a ty siedzisz u jego stóp na białym piasku. Steve cię obejmuje i patrzy na ciebie z taką miłością, kochanie. Ty aż łnisz. Masz taki zaraźliwy uśmiech. Bardzo go kochasz, prawda?

Jej słowa nikną w oddali, a mój umysł chwytą się strzępów obrazów, jakie przywołały. W objęciach tych silnych ramion czuję się bezpieczna, kochana, chroniona. Pod stopami mam ciepły, czysty piasek. Męczyzna ujmuje moją dłoń i unosi do ust. Jego oddech pali mi palce i rozpala w moim wnętrzu ogień, który sprawia, że jeszcze mocniej pragnę jego dotyku. Gdy się uśmiecha, na jego policzkach pojawiają się dołeczki. Na skroniach srebro.

A potem w mojej głowie rozlega się niezwykle donośny głos.

– Cięcie! Kończymy na dziś. Wspaniały występ, Emmo. Naprawdę *stajesz się* Jane Watkins. Wiarygodnie i prawdziwie. Tak trzymać.

Dziura w piersi staje się przepaścią, gdy fragmenty wspomnień łączą się w obraz. Wielowymiarowy obraz z głębokimi emocjami, jakie zaczynają mi towarzyszyć odczuciami tak prawdziwymi, że czuję je i teraz. Radość ze słów reżysera. Szeroki uśmiech, jaki mu posyłam. Znajomy nacisk jego dłoni na moje plecy, gdy wyprowadzał mnie za kulisy. Jego usta pod moimi

wargami, gdy pocałowałam go szybko, pospiesznie, zanim ktokolwiek mógłby to zauważyć.

– Zawdzięczam to tylko tobie, Steve – wyszeptałam mu do ucha.

Te słowa rozbrzmiewają teraz dziwnym echem, tu, w ciemności wypełnionej barwnymi wspomnieniami, urywkami zdarzeń, kawałkami układanki pragnącymi stać się całością.

Jestem aktorką. A Steve jest reżyserem. I przynajmniej raz ze sobą pracowaliśmy.

Przesiewając wspomnienia wywołane słowami mamy, odtwarzam tę scenę raz po raz w zwolnionym tempie, póki nie błysnie mi to, czego szukam.

Na palcu dłoni, którą tamtego dnia Steve uniósł do ust, złota obrączka odbijała ciepły, promienny blask.

To prawda. Steve jest moim mężem. Kocham go.

– ...oglądałam w kółko. Dzięki Bogu za streaming. – Głos matki przywołuje mnie do rzeczywistości, powstrzymuje falę bólu.

– Który podoba ci się najbardziej? – pytam ledwie słyszalnym szeptem.

– *Upadek Jane Watkins*, oczywiście – odpowiada bez wahania. – Bez dwóch zdań to twoja najlepsza rola. Nie jestem zbyt przekonana do *Letniej miłości*. – W jej głosie pojawiają się nutki smutku, niemal brzmi to jak rozczarowanie. – Nie mogę zrozumieć, czemu nie protestowałaś. Film byłby równie dobry bez tej sceny. Nie powinnaś była się zgadzać.

– Na co, mamó? – pytam roztargniona, a może raczej zmęczona, ale zbyt przestraszona, by zakończyć rozmowę, bo się obawiam naglej fali wspomnień, która może mnie zatopić.